Nr. 34. We Lwowie dnia 22. sierpnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Vrchlicky Asnykowi.

W najnowszym numerze Zlatej Prahy (nr. 40) znany tłumacz Asnyka, Franciszek Kwapil, poświęca pamięci tegoż poety bardzo udatny szkic literacki, zakończony przekładem wiersza Asnykowego na rocznicę J. Kollara, wieszcza odrodzenia Czech, a poprzedzony prześliczną kompozycją rysownika czeskiego, Wiktora Oliwy, i odą saficką znakomitego poety Vrchlickiego, którą podajemy poniżej w przekładzie dosłownym:

Adam Asnyk.

Ucichły dawno wielkich piewców głosy,
Które poważnym starych wieszczów chórem
We krwi i dymie wtórowały smutnej
Polskiej tragedji.

Adam — ojczyste już donucił epos,
On, który w Dziadach bił w bramy wieczności,
U końca drogi spoczął, błędny pątnik,
W pieśni Homera.

Męczonej Polski w sercu obraz nosząc,
Z jednem, w okręgu obcych światów, skrzydłem,
Z drugiem — na ojców zaś mogiłach — usnął
Juliusz Prorok.

Zygmunt swój łzawy spiew mistyczny skończył,
Całe rozdarte w sztuki serce ranne
Złożywszy kornie u stóp krzyża w ciszy,
Z pieśnią łabędzią.

Ciężką wstecznictwa kulą smutne czasy
Spadły na skrzydła silnych myślą duchów,
Jakoby ołów, jakby upiór straszny,
Krwi szukający.

Groby w około — Sybir zaśnieżony
We mgłach oddali, a tułacze rzesze,
Hen rozproszone po wszech krańcach świata,
W płaczu, wśród przekleństw

Oko utkwiły w kraj swój utracony,
Lub niem badały próżno ostrze miecza,
Pragnąc steranej Matki rozciąć pęta
W skurczu ostatnim.

W chwili tak ciężkiej, smutnej, z pod obłoku
Cóż to za łabędź biały wzbił się w niebo,
Pośród chmur czarnych nucąc »o nadziei«
Pean zwycięzki?

Piersi swej burze zwyciężywszy srogie,
Duszy swej spory ciężkie ukoiwszy,
Urosłeś Polsce biednej, silny duchem,
Drugim Adamem!

Urósłeś z dziadów krwi — lecz od nich inny
Z ich pieśni Twoja pieśń wzleciała nowa
I brała kształty, przez które przemawiał
Człowiek dzisiejszy.

Ku sercu Matki czułe-ś ucho skłonił
I w żalu dawnym ty słyszałeś dźwięki
Hymnu przyszłości, co wytryska z gleby
Chwili minionej.

Praksytelesa »Torsem Psychy« — która
W marmurze lśniącej pieśni sny swe snuje
Pięknem karmiona, upojona — była
Dusza Twa własna!

Coś nie wymarzył ty »u stopni krzyża«!
Szukałeś w gruzach Grecji, w śladach Rzymu
Znalazłeś w sercu swojem, ukojonem
Pracą »Herakla«!

Takeś żył, nucił tak spodlonym czasom
Jako my wszyscy, ileż razy-ś uczuł
Jałowość trudu, oścień do strzaskania
Sworni zbutwiałych?

Dumnyś i silny w duchów wielkich przystań
Ostatnią, wpłynął, w rezygnacji strumień,
Wraz harmonijny ucichł fal burzliwych
Przypływ i odpływ.

A dzisiaj? Ciężkie wrota się zawarły
Za Twym ostatnim krokiem. A »sen grobów«
Dziś Ci już również nie jest tajemnicą
Z wieszczów ostatni!

Czyż mamy płakać? Żyłeś, więc cierpiałeś,
Z czcią drżąca ręka ciska w stos wawrzynów
Najdroższe Tobie na Twą trumnę kwiaty
»Astrów« srebrzystych...

Jarosław Vrchlicky.
(Przełożył Dr. Fr. Kr.)

Z dziejów poezji polskiej.

(Dokończenie).

II.

W Europie Zachodniej już w XVII stuleciu rozpoczęło się falowanie umysłów dzięki impulsowi, nadanemu przez rozwój nauk ścisłych i przyrodniczych. Starożytne powagi z Arystotelesem na czele znikały, jak cienie, w świetle nowych prawd, rzuconych światu przez Kopernika, Brunona, Keplera, Galileusza; światło to, wzmocnione przez odkrycia Newtona, Torriceli'ego, Pascala, wskazało nowe drogi filozofji. Wsparty na metodzie doświadczalnej (Bacona) i kontroli rozumu (Kartezjusza) racjonalizm sponiewierał dawne przesądy i powagę teologji w rzeczach nauki i filozofji. Encyklopedyści francuscy w początku XVIII w. uwolnili moralność z pod opieki religji i schodząc się z Rousseau'em, ostrza krytyki zwrócili do urządzeń społecznych, przyczem, mówiąc nawiasem, w ich ocenie nie krępowali się przedmiotowością krytyki historycznej. Ruch ten umysłowy najpełniej rozwinął się we Francji, wiążąc się z reformą społeczno-polityczną, w charakterze czynnika wywrotowego.

Nasze społeczeństwo prawie do połowy XVIII w. ruchem tym nie interesowało się. Przez stosunki z dworem saskim i podróże bogatej szlachty zaszczepione naśladownictwo kultury zewnętrznej zagranicznej oraz upowszechniana coraz więcej w sferach wyższych znajomość języków nowożytnych przez długi czas dawały społeczeństwu lekkie zabarwienie, jakie poprzedza na wodach wejście zorzy. Pierwsze promienie wschodzącego światła padły ukośnie na strukturę polityczną. Dla umysłów, poczynających myśleć racjonalnie, te rysy w budowie, które się ich oczom ukazały, były zjawiskiem złowieszczem. Stąd głosy nawoływania do przebudowy, tworzące całą literaturę polityczną XVIII w., którą uważać trzeba za początek i podstawę nie tylko odrodzenia się politycznego kraju, lecz i za źródło naszej literatury nowożytnej.

Na tle tego ruchu, którego powyższa literatura była wyrazem, odbywał się u nas przewrót umysłowy XVIII stulecia. Pisarze ówcześni, poczynając od Karwickiego i Leszczyńskiego aż do Kołłątaja, są przedewszystkiem działaczami społecznymi, a na drugim planie krzewicielami wolnomyślności filozoficznej; chodziło im bowiem przedewszystkiem, jak S. Jabłonowskiemu (*Skrupuł bez skrupułu*, 1730), o „oświecanie grzechów narodowi... zwyczajnych, a za grzechy nie mianych", o byt społeczeństwa. Szlachta zamożna, lekceważąca kulturę własną i przyjmująca z zachodu wszystko, co było na dobie, znalazła się mimowoli w roli propagatora idej, zgubnych dla niej samej, jako stanu rządzącego. Mówiono i pisano o prawach człowieka, równości; zapasów wiedzy nie przywożono, tylko hasła, a bodaj najważniejsze z nich było to, które głosiło potrzebę oświaty, dążącej do rozszerzenia najnowszych zdobyczy wiedzy.

Zakony, trzymające rękę na pulsie społeczeństwa szlacheckiego musiały i z temi przeobrażeniami poglądów się rachować, tak jak dawniej przystosowywały się do ideałów anarchicznych. Jeżeli się nie chciało wypuścić z rąk wychowania publicznego, a zwłaszcza wpływu na warstwy oświecone, należało tej garstce szlachty dać szkołę innego typu, niż dawna. Dla zakonów potrzeba takiej szkoły była naglącą z tego względu, że wiele rodzin, nie zadawalniając się szkołami miejscowemi, kształciło młodzież za granicą, skąd ta wracała do kraju zarażona ateizmem. Zapobieżenie temu kształceniu się za granicą leżało tembardziej

w interesach społeczeństwa, potrzebującego ludzi oświeconych, mających poczucie przeszłości i warunków życia bieżącego, czego pobyt za granicą dać nie mógł.

Interes ten zrozumiał i potrafił go pogodzić z interesami swego zakonu wysoko oświecony pijar, Stanisław Konarski. Obmyślił on i wprowadził w życie typ szkoły, która mogła dogodzić gustom oświeconej szlachty. Szkołę taką trzeba było urządzić z komfortem; należało dać bogatej młodzieży to wszystko zwłaszcza, co mogło zastąpić polor zagraniczny: ogładę salonową, znajomość języka francuskiego, tańców, muzyki, konnej jazdy, zapoznać ją z elementarnemi zasadami matematyki i nieznanych dotąd nauk przyrodniczych, oswoić wychowańców z głośnemi nazwiskami Galileusza, Gassendi'ego, Newtona, Kartezjusza, Bacona, Locke'a, Wolffa, nawet Woltera, a uczynić to w taki sposób i w takiej mierze, aby nie burzyć wierzeń religijnych.

Z drugiej strony Konarski, wprowadzając do szkół język francuski, osłabił znaczenie łaciny. Pozostała ona co prawda jako pierwszorzędny przedmiot nauki szkolnej, lecz obok niej znalazło się miejsce na język polski. Największe jednak znaczenie nowej szkoły leżało w tem, że starała się stosować edukację do potrzeb życia, wdrażając myśl młodzieży do pojmowania obowiązków obywatelskich.

Jezuici, widząc powodzenie, jakiem zaczęły się cieszyć szkoły pijarskie u szlachty, weszli również na drogę reform szkolnych. Emulacja zakonów na tem polu nie obyła się bez gorszących objawów zawiści i sporów. Walka o zasady edukacyjne, rozpoczęta wtedy przez sfery konserwatywne z jezuitami na czele, starającemi się zdyskredytować nowy kierunek, przeciągnęła się w wiek XIX, wywierając wpływ bezpośredni na pokolenie, do którego należeli nasi poeci *).

Bądź co bądź ruch umysłowy i kulturalny stawał się tak żywotnym, że szkoły zakonne musiały mimowoli kroczyć drogą reform pod grozą utracenia wpływu na warstwy oświecone. Szkoły tedy godziły, jak mogły, nowe kierunki filozoficzne z dawnemi, trzymając się wraz z Krasickim zasady:

Źle jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć,
Jest granica, za którą przechodzić nie wolno.

Szkoła zakonna w początkach XVIII i początkach naszego wieku była wałem ochronnym o który rozbijały się fale wolnomyślności, idące z prądem zachodnim. Jej działaniu przypisać należy w znacznej mierze skierowanie nowego prądu na drogę eklektyzmu, godzącego wolnomyślność z wierzeniami. Dzięki temu wpływowi, osłabiającemu siłę przewrotu umysłowego, reakcja przeciw scholastycyzmowi na polu naukowo-filozoficznem nie odznaczała się u nas szczególną bujnością.

Ściśle biorąc, ten wpływ na społeczeństwo wywierała nietylko szkoła zakonna. Ważną jest okoliczność, że prawie cała inteligencja krajowa (pisarze, pedagogowie, uczeni) była złożona z księży. Każda idea, zanim się przedostała przez tę warstwę do ogółu, musiała ulec pewnemu przekształceniu.

W r. 1773 zakon jezuitów został skasowany. Dla reformatorów społeczeństwa była to chwila dogodna do wytrącenia edukacji publicznej z rąk zakonów wogóle. Niesilni ilościowo, mieli oni taki wpływ na bieg spraw państwowych, że przeprowadzili przez sejm prawo o sekularyzacji szkół publicznych z oddaniem ich pod zarząd państwa. Powstała stąd Komisja edukacyjna. Dziesięć lat trwały roboty przygotowawcze; zreformowano akademję Wileńską (Poczobut) i Krakowską (Kołłątaj); w r. 1783 ogłoszone zostały „Ustawy Komisji edukacji narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach rzeczypospolitej przepisanych".

Nie będziemy tu podnosili znanych dobrze szczegółów stworzonej przez Komisję organizacji szkolnej. Ważną dla nas jest ta okoliczność, że sekularyzowana w zasadzie szkoła nie mogła dla braku sił nauczycielskich i funduszów obejść się i nadal bez pomocy duchowieństwa. Komisja pomnożyła znacznie ilość szkół średnich i niższych *); niektóre z nich zaledwie mogły być obsadzone nauczycielami świeckimi, których miały dostarczać na przyszłość seminarja nauczycielskie i akademja. Większość szkół stanowiły, jak i dawniej, zakłady zakonne pijarów, bazyljanów i in., zreformowane podług ustaw Komisji i pod jej zarząd oddane, w charakterze szkół wydziałowych lub podwydziałowych. Okoliczność ta nie pozostała bez wpływu na dalsze losy ruchu umysłowego, silnie wzmożonego przez wprowadzenie zmian w programie szkolnym.

---

*) Ob. rozprawę profesora Piotra Chmielowskiego „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1823)" w *Ateneum,* 1883, I i II.

*) W r. 1776, przed wprowadzeniem nowych ustaw szkolnych w całem państwie było 65 szkół; między innemi ani jednej nie było świeckiej. Z tej liczby 39 znajdowało się w rękach ex-jezuitów (Smoleński *Przewrót umysłowy,* 254). Por. 1783 było już szkół 74, w tej liczbie 34 świeckich (Tamże 262). Około 1792 r. w państwie było 97 szkół, z tych Kom. Eduk. miała pod swym zarządem 74 szkoły: 42 w Koronie, 32 na Litwie i Rusi. W szkołach tych kształciło się wtedy około 20.000 osób. Jedna tedy szkoła przypada na 82.474 mieszkańców, zaś jeden wychowaniec na 400 osób (Łukaszewicz. *Historja szkół,* II, 445). Żydzi i protestanci mieli prócz tego szkoły własne; ludność włościańska parafjalne.

Program ten w ustawach Komisja jest udoskonalonem rozwinięciem zasad, wprowadzonych do szkół przez Konarskiego. Najwybitniejszą jego cechą jest utylitaryzm, konsekwentnie związany z ogólnem dążeniem lepszych sił społeczeństwa do pracy „od podstaw“ nad kulturą krajową. Wybiorowi przedmiotów, ich traktowaniu w szkole przyświecał utylitarny racjonalizm. Młodzież wedle tego systemu miała odbierać wykształcenie realne. Podług Staszyca, wybitnego rzecznika tego kierunku, ze szkół usunąć należało metafizykę, teologję i logikę, to tylko bowiem jest poznawalne, co pod zmysły podpada i zmysłami da się sprawdzić. Teologja ze szkół cofnęła się do seminarjów duchownych. Zamiast niej od najniższych klas wykładano „naukę moralną“ o powinnościach i obowiązkach człowieka, według „prawa natury“. Wybitne miejsce zajęły nauki przyrodnicze. W nich nauczyciel — wedle instrukcji głoszonej przez komisję — „nie będzie się wdawał w próżną.. metafizykę... nie odstąpi od analitycznego sposobu i indukcji w dochodzeniu prawdy... zawsze pokazywać będzie z tej lub owej umiejętności fizycznej rzetelne korzyści, czyniąc tym sposobem naukę pożyteczną... Chcąc chemię uczynić dobrą, pożyteczną, odrzucić trzeba w jej traktowaniu domysły bałamutne, ciekawości płoche... odrzucić systemata, trzymać się obserwacji, zaczynając od ziemi, od rzeczy gospodarskich, z a w s z e s t o s u j ą c n a u k ę d o p o t r z e b, d o w y g ó d l u d z k i c h...“ Historja weszła do wykładów, jako *magistra vitae*. Miała ona celu „naukę cnoty i obyczajów“. Nauczyciel „wolny od przesądów wytykać będzie przedniejsze dzieje bez żadnej w słowach ogródki, z przydaniem zawsze sprawiedliwej pochwały lub nagany“.

To dążenie do wyciągnięcia ze szkoły jaknajwiększego pożytku dla życia, noszące na sobie w każdym szczególe znamię reakcji przeciwko dawnemu wychowaniu jezuickiemu, odbiło się najsilniej (pod względem rezultatów) na stosunku szkoły do czynników rodzimych w kulturze społeczeństwa, zwłaszcza na stosunku do języka rodowitego. Komisja edukacyjna wprowadziła do szkół język polski, jako przedmiot nauczania; uczniowie odtąd nie rozmawiają w szkole między sobą po łacinie. „W nauce gramatyki — czytamy w ustawach — pierwsze staranie będzie około języka ojczystego, toż dopiero około łacińskiego“. W myśl tej zasady pisze X. Grzegorz Piramowicz podręcznik „wymowy i poezji“ (1792), kładąc w nim główny nacisk na konieczność wyrobienia w młodzieży p o c z u c i a języka własnego, poczucia przez oświecone warstwy w XVIII w. zatraconego. „Żeby własność słów zachować — jego zdaniem — trzeba dobrze język swój umieć, trzeba znać w osobnych wyrazach jego acz najmniejszą różnicę i niby najcieńsze cieniowania.. B e z z n a j o m o ś c i j ę z y k a s w e g o... „n i k t s i ę n i e m a p o r y w a ć d o p i s a n i a“.

Szacunek dla własnego języka wzrastał z postępem czasu, rodząc coraz większe zamiłowanie do literatury swojskiej. Coraz jaśniej przedstawiano sobie jego znaczenie kulturalne. Kołłątaj, pomagając Czackiemu do udoskonalenia szkół wołyńskich, stawiał za warunek powodzenia oświaty, aby z języka rodowitego wyrobić „mowę uczoną i zdolną tłumaczyć najgłębsze nauk tajemnice“.

Jeżeli ta znajomość języka w pojęciach wychowawców miała na celu ułatwienie nauczania łaciny, to dla młodego pokolenia, reagującego silnie przeciwko Alwarowi, znajomość ta miała zbyt wiele uroku, aby nie uznano jej potrzeby dla niej samej. Kierownikom chodziło głównie o to, aby uczniowie, formułując pojęcia w języku własnym, wyrobić sobie mogli jaknajjaśniejszy sąd o rzeczach; gramatyka w ich oczach miała być nauką logiki. Mając na oku cele praktyczne oświaty, nie przywiązywali bynajmniej tej wagi do krasomówstwa i poezji, jak dawniej szkoły zakonne. Umiejętność wierszopistwa, uważana za chlubę szkół dawnych, tutaj nie była pożądaną. Instrukcja Komisji zapowiada nauczycielowi, że „nie będzie żadnego z uczniów obowiązywać do pisania wierszy, dopieroż do pisania w wybranym od siebie rodzaju“. Swoją drogą pisanie wierszy w szkołach należało do mody, jak za czasów Komisji, tak i później po Ukazie z 1803 w okręgu Wileńskim, dopóki istniała nauka „wymowy i poezji“.

Że ten przedmiot utrzymał się w nowych szkołach, jako pozostałość systemu dawnego, to dowodzi, iż najradykalniejsza reforma musi się liczyć z ciągłością historyczną. Zmieniono język, wprowadzono nowe wzory, lecz zasada kształcenia młodzieży na wzorach literatury nadobnej pozostała ta sama, przeprowadzana nadto przez tych samych ludzi — zakonników. Podawnemu nie tylko kładziono nacisk na poznawanie utworów celniejszych literatury, lecz wdrażano młodzież praktycznie w tajemnice techniki pisarskiej przez wypróbowania, polegające na naśladowaniu tych utworów. W szkołach średnich i w uniwersytecie największą chlubą dla młodzieńca był laur poety. Zjawisko to w prowincjach niejednolitych etnograficznie, nadto posiadających kulturę świeżą, niewyrobioną, musiało przybrać rozmiary większe, niż gdzieindziej. Te setki poetów w początku b. wieku, to bezpośredni produkt szkoły, produkt mechaniczny, gdzie szkoła była narzędziem odrodzonego żywiołu narodowości.

Powodzenie szkoły w kierunku pomnażania poetów nie leżało w planach ludzi, którzy

do reformy szkolnej przykładali rękę. Pragnęli oni, aby szkoła produkowała jak najwięcej trzeźwych i światłych pedagogów, lekarzy, prawników, rolników. Zrobili wszystko, co było można, aby nie kształcić w młodzieży pierwiastku uczuć i fantazji. Praca nad mową, jako organem myśli, miała na celu wyrobienie sprawności w operowaniu pojęciami, ścisłości w logice, niezbędnej dla racjonalistycznego sposobu myślenia. W nauce wymowy i poezji zastosowano najsuchszy ze znanych kierunek estetyczny, pasujący doskonale do ich filozofji racjonalistycznej i nauk doświadczalnych, kierunek wytknięty przez Arystotelesa, Horacego, Boala, Laharpa. Pomimo to wszystko, zamiast profesjonistów, ufających „szkiełku i oku“, wychodziły ze szkół zastępy poetów.

Kiedy powiał z zachodu nowy prąd filozoficzny — metafizyka z posiłkującemi ją za sadami odpowiedniej estetyki — z jakiej strony miał zawładnąć umysłowością naszą? Filozofja nie kwitła; były tylko umiejętności, wiedza stosowana, trzeźwy rozsądek — daleki od za ciekania się w systematy filozoficzne. Lecz natomiast stały gotowe zastępy, pełne aspiracji literackich, oczekujące nowych haseł estetycznych. Na nie tedy zstąpił nowy duch w postaci t. z. romantyzmu.

W walce, która się wywiązała z pokoleniem starszem, nie było komu stanąć w obronie Kanta lub Fichtego; cała walka skoncentrowała się na arenie poetyckiej. Była to walka domowa (w obrębie szkoły), w której pociski uczniów krzyżowały się z gromami wychowańców. Starszyzna szkolna, z nawybitniejszym przedstawicielem nauk ścisłych, astronomem Śniadeckim, na czele stanąć musiała z urzędu w obronie dawnej „wymowy i poezji“.

Z „Głosu“. *Zygmunt Wasilewski.*

Z tułaczej jazdy.

IV.

„Chodziki“.

Kantecki, raz wsiadłszy na swój temat ulubiony opowieści o różnych, jak mawiał, mizerjach emigranckich, nie przestawał gadać, ożywiając się coraz bardziej. Wojciechowski słuchał go nie bez nabożeństwa, ponieważ w życiu paryskiem Kantecki był mu niejako Wirgilim i Beatryczą naraz i wtajemniczał go w tajniki, które sam zgłębił różnymi czasy.

— Sprowadziłem tu was dzisiaj umyślnie — rzekł Kantecki — żeby wam pokazać Chodzika. Natrafiłem na pyszny typ!...

— Cóż to jest „Chodzik?“ — przerwał Wojciechowski.

— Jak to, „bonomie“, nie wiecie co to jest Chodzik?! O la la... Chodzik, uważacie, jest to najzłośliwsza odmiana „robaka na obczyźnie“. Jest to okaz znany studentom i w ogóle Polakom w całej środkowej Europie, zwłaszcza zaś pleni się w Szwajcarji i Francji. Jest to taki „bonom“, który wyszedł, niewiedzieć, skąd, wędruje, niewiadomo, dokąd i po drodze wzrusza serca rodaków, jako ofiara rozmaitych fatalności. Chodzik nie jada ani pije, a jednak chodzi i żyje.

Wojciechowski roześmiał się.

— Nie ma śmiechu — rzekł surowo Kantecki, jak was takie Chodkiki zaczną nachodzić, jak z was wydębią ostatniego franciszka, wówczas poznacie, co jest. Pierwszy raz widziałem Chodzika w Heidelbergu. Tam nazywają ich bazyliszkami, ponieważ najczęściej podają się za przybyłych z Bazylei, skąd dążą do ojczyzny. Owóż wchodzi taki bazyliszek do mnie i wita mnie po polsku: Niech będzie pochwalony. Chłop tęgi, broda za pas, czerwony jak kufel „münchenbira“. Powiadam: Na wieki wieków! A ten do mnie z punktu pali przemowę po niemiecku. Że on tu już 12 lat mieszka, że mowy ojczystej zapomniał, ale że kości chce złożyć w kraju i że oto zwraca się do rodaków, żeby mu podróż ułatwili. Ja, uważacie, byłem jeszcze całkiem naiwny, świeżo z kraju, więc odrazu się rozczuliłem i buch z Niemcem do restauracji. Nakarmiłem go, chociaż „bonom“ nie tyle jadł, co wypijał i dałem mu 8 marek i jeszcze parę adresów. Dopiero nazajutrz miałem wielką mizerję!

Okazało się, że „bonom“ wcale nie był u owych rodaków, a to dla tego, że już ich nabrał przed rokiem na taką podróż do ojczyzny.

— Cóż — to był Niemiec? — wtrącił Wojciechowski.

— Właśnie że rodak był. Ala mało nam to pochlebia. Przed laty może nawet chciał jechać do kraju, ale prawdopodobnie przepił to, co zebrał, i odtąd stworzył sobie taki niewinny proceder, jeżdżąc z Heidelbergu do Karlsruhe, z Karlsruhe do Darmstatu itd.

Wojciechowski słuchał tej opowieści, z uczuciem wzrastającego niesmaku.

— Więc w takim razie — rzekł — należałoby takich Chodzików jakoś karcić.

— Tęgi z was moralista — zaśmiał się Kantecki — ale słuchajcie dalej.

Było w Genewie. Mieliśmy już tam, uważacie, większe doświadczenie względem Chodzików, bo w Genewie jest ich moc. Spacerują sobie po Szwajcarji, nieprzymierzając jak Anglicy. Otóż towarzystwa studenckie w Szwaj-

carji mają dla Chodzików ustanowioną procedurę. Daje się Chodzikowi kubek piwa, dwa franciszki i marsz dalej. Czasem, któraś litościwa koleżanka da się jeszcze nabrać, ale rzadko. W Genewie miałem takiego Chodzika, który szedł z Warszawy. Daliśmy mu owe dwa frai i „boka“ jak zwykle. Aż tu mój Chodzik zjawia się u mnie w prywatnem mieszkaniu. Zaczął mi opowiadać, że chciałby się dostać do Lyonu, że tam ma jakiegoś Francuza, który był w Warszawie w fabryce sreber, że ten Francuz znalazł by mu zajęcie itd. Pytam go, dlaczego Warszawę opuścił? Chodziki w takich razach często opowiadają o żandarmach, o prześladowaniu itd., a łatwo ich złapać, bo oczywiście nikogo nie znają, z tych co naprawdę mieli do czynienia z żandarmami. Otóż mój bonom nic nie mówi o żandarmach, tylko powiada: „Ja panu wszystko powiem, jak było Co tu długo gadać — skusiło mnie w fabryce na tuzin srebrnych łyżek — później mnie wyrzucili, a choć do sądu nie podali, ale uciekłem ze wstydu“. Jak mi tak powiedział, w pierwszej chwili zbaraniałem. Bonom stoi w kącie i kapelusz słomkowy obraca. obraca, aż strzępy idą. Patrzę mu na chodaki — tragedja. Patrzę na twarz: chudy jak szczapa, tylko mu się wąsy ruszają a obrosły szczotką jak zbój. Więc myślę sobie, z tym warto spróbować Wydębiłem w kolonii trochę franków, dodałem swoje susiki i puściłem go do Lyonu. Z rok potem żadnej wiadomości nie miałem i myślałem, że mnie znów delikatnie nabrano. Aż tu raptem zjawia się mój bonom na Carouge'u. Wesoły, pięknie uczesany, przy zegarku. Przywiózł wszystko co do grosza, zabawił w Genewie i jeszcze zostawił na „Czerwony krzyż“. Odtąd co roku przesyła z Lyonu po kilkanaście franciszków na różne cele. Pracuje znowu w srebrach, ale już go teraz nie „skusi“. Otóż to, uważacie, jest odmiana chodzika cnotliwego. Taki chodzik wędruje krótko, potem gdzieś osiada i awansuje na prawdziwego „rodaka na obczyźnie“. I — uważacie — właśnie dlatego, że takie typy się zdarzają, niepodobna, jak mówicie, chodzików ścigać. Zresztą nie ma ratunku, bo taki chodzik profesjonalny zmienia nazwisko, fachy, preteksty i jest kuty na cztery łapy...

W tem miejcu powtórne pukanie do drzwi przerwało monolog Kanteckiego.

— To pewnie mój chodzik — szepnął do Wojciechowskiego —, nazywa się obecnie Bartoś — proszę! zawołał głośno.

Franciszek Bartoś mógł mieć około 30-tu lat niekoniecznie najnędzniejszego życia. Wzrostu był bardziej niż średniego, w plecach barczysty i na twarzy mocno rumiany. Nos mu nieco błyszczał, jakby umaślony między pucułowatemi policzkami; oczki również maśliły się i śmigały posprzętach z głupio-chytrym wyrazem.

— Moje uszanowanie wielmożnym panom — rzekł przymykając delikatnie drzwi.

Wojciechowski poznał odrazu w żakiecie, strojącym w sposób niezmiernie obcisły barki Bartosia, znany sobie dobrze „śmieciuch“ Kanteckiego, rodzaj ubrania, który tenże uważał za swój szlafrok.

— Jak się macie, bonomie — rzekł Kantecki —, podobno byliście tu przedwczoraj?

— A jakże, proszę pana, byłem — odparł szybko Bartoś — właśnie bo dla tego, że sam pan przykazał w tamten piątek.

— Łże bestja — mruknął do Wojciechowskiego Kantecki.

Bartoś tymczasem prowadził dalej:

— A jakże: w przeszły piątek, co to mnie wielmożny pan tak uraczył herbatą. „Przyjdźcie — mówił pan — Bartosiu w przyszłą sobotę“. Ja akuratnie przyszedłem.

— A wiecie co — odparł Kantecki — może tak palnijmy sobie herbaty, co? Gorąco jest, ale to nie szkodzi?

— I owszem — rzekł Bartoś, przysiadujęc znowu bardzo delikatnie na krzesełku — gorącość gorącości nie sprzeciwia się.

— Macie tu wodę i maszynkę — weźcie się Bartosiu do roboty, a ja tymczasem skoczę do episjera i list odniosę.

Po wyjściu Kanteckiego Bartoś bardzo zwinnie zabrał się do czynności przygotowawczych, jednocześnie spoglądając w stronę Wojciechowskiego, którego widział po raz pierwszy.

— Wielmożny pan — zapytał — dawno już tu w Paryzie?

— Nie bardzo dawno — odrzekł Wojciechowski —, trzeci miesiąc.

Bartoś westchnął.

— Pan dobrodziej wyjechał od nas w same żniwa!

Był pewien odcień żałośliwości w tych słowach, ale Bartoś nie dał się unieść sentymentalizmowi.

— Oj tak, tak — ciężko to z tymi francuzami i powietrze też niedobre — dodał —, ale jedzenie to całkiem żadne. Najgorszy jest ten ich chleb biały. Nie daj Boże mięszać z tym chlebem co bądź tłustego, takie to ostre. „Framaz“ jadam także i „patę“ z chlebem. Krew mam jeszcze zdrową, ale już nie dużo tego zostało.

Bartoś długo i ze znawstwem rozwodził cię o jadle, czyli, jak mówił, „żarciu“ w Paryzie.

— A pan dobrodziej daleko stąd mieszka? — zagadnął nagle Wojciechowskiego.

Wojciechowski zawahał się.

— Bo ja, proszę pana, rad każdemu posłużę akuratnie — śpieszył Bartoś.

— Tu u pana Kanteckiego pracuję czasami, innym do miasta chodzę i pana Zalew-

skiego znam, i pana Malinowskiego medycyny doktora i „koleżanki“.

„Koleżanki“ przekonały Wojciechowskiego do reszty.

— Mieszkam przy bulwarze St. Michel pod numerem dziesiątym.

— „Diz senmiszel“ — zawołał Bartoś — znajomy dom: tam pan Grabiński malarz mieszkał.

(C. d. n.) *Jerzy Grot.*

Błędy językowe.

46. Nie mówi się „z przed wielu laty“, lecz „z przed wielu lat“, (a co innego jest „przed wielu laty“); nie mówi się też „pani N., *urodzona* N.“, ani „panna N.. *zamężna* N.“, lecz „pani N., *z domu* N., i „panna N., *z męża* N“.

47. Nie mówimy, że się stało, albo że ktoś coś zrobił *w tygodniu, w miesiącu, w roku* itp., lecz *w tydzień, w miesiąc, w rok* itp., więc też nie należy mówić z niemiecka, że ktoś przyjechał coś *w trzech dniach*, że *odbył podróż w trzydziestu tygodniach* itd. lecz przyjechał *we trzy dni*, odbył podróż *w trzydzieści tygodni* itd.

48. *Nad podziw, podostatkiem, najsamprzód, jako to* są błędami: trzeba mówić i pisać: *na podziw, poddostatkiem, nasamprzód, naprzód, jak oto.*

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Ciąg dalszy).

Długą chwilę podziwialiśmy w milczeniu malowniczą grupę i na niejednej twarzy odbiło się żywe wzruszenie.

I o czem mógł myśleć w tej chwili ten młody chłopak, przybrany w togę wielkiego wieszcza nieszczęśliwego narodu.

W jego dziwnie poważnej twarzy, jakimś ogniem wewnętrznym natchnionej, jaśniało wielkie, tajemne uczucie. Czy zdawała mu się, że biorąc na się postać natchnionego piewcy, przyjmuje również i część jego ducha? Czy z zachwytem myślą gonił za wieszcza myślami, czy przejęty czcią i lękiem korzył się przed potęgą, która młode oczy jego olśniła? A może tylko w jednej chwili proroczego widzenia może ujrzał nagle drogę swych przeznaczeń i poznał, że kochać ma to, co wieszcz ukochał, i cierpieć jak on cierpiał i jak on bez przerwy, w każdem tchnieniu swojem miłości swojej służyć.

Poszukałam wzrokiem jego matki, która brylantowemi od łez oczyma patrzała w ukochaną postać wieszcza:

„O matko Polko! jabym twoje dziecię przyszłemi jego zabawkami bawił“.

Jakby domówieniem mojej myśli, wśród ciszy i skupienia ducha zabrzmiał nagle z przyległego salonu hymn, przy akompaniamencie fortepianu kilku młodemi głosami śpiewany:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie, Panie, bije ten głos...“

Zabawa przeistoczyła się nagle w modlitwę.

I młodzież cicha, w pięknej zjednoczona grupie, i starsi dumający przed nią, połączyli się na jedną chwilę w tym hymnie, którym z głębin ducha, w cichości się modlili.

I zaprawdę, trudno o podobną takiej modlitwę — na tle towarzyskiej zabawy, wśród wesołego sąsiedzkiego zgromadzenia nagle wykwitłej, a tak pełnej podniesionego serca i gorzkich łez ..

Nagle zmąciło się wszystko. Na półsłowie urwała się pieśń i cofnęli się od fortepianu śpiewacy, wszczęły się szepty i poruszenia wśród bliżej drzwi stojących. Żywy obraz odżył nagle i chciał już umknąć za kulisy, gdy pierwsza porwała się panna Marja i dawszy znak młodym, aby stali jeszcze, rzuciła się do drzwi przedpokoju.

Niepokój wzrastał. Co się stało? kto przyjechał? Może lepiej się rozejść? powtarzano dokoła gorączkowo.

Ale oto od środka salonu dźwięczał już rezolutny, wesoły głos panny Marji, co prawda w najszkaradniejszej, z białoruska skaleczonej gwarze, która miała być czysto nadnewską.

Prowadziła przed sobą dwóch jegomości, obu umundurowanych.

Okazało się, że młody pan poczmistrz z pobliskiego miasteczka, dowiedziawszy się o „wieczorze“ w Kaliczach, powziął myśl wzięcia udziału w zabawie i przybrawszy sobie za towarzysza „uriadnika“, przyjechał w gościnę.

„Robić dobrą minę przy złej grze“ — tę sztukę posiadała panna Marja w wysokim stopniu.

Nieprzyjemny nastrój, gorycz, zaniepokonie, jakie zapanowały wśród zebranych, ustąpić na chwilę musiały na widok sceny, jaka odegrywała się teraz przed obrazem. Z dwóch umundurowanych jegomościów jeden zdawał się być niezmiernie zakłopotany swoją mizerną figurką w obec poważnego grona majętnej szlachty, drugi zaś prostował z pychą swoją pierś „uriadnikowską“, udekorowaną dwoma szeregami jaśniejących „kazionnych“ guzików, a jednocześnie—niestety, zapewne już z nałogu — wąskie oczka jego z ciekawością wiewiórek smykać zaczęły po wszystkich kątach obu salonów. Wpośród nich stała panna Marja, i z najfiglarniejszem swojem spojrzeniem, z ustami arcypoważnie ułożonemi, bez najmniejszego zająknienia opowiadała treść żywego obrazu, o co ją właśnie zapytywał „uriadnik“.

„Włodzimierz Wielki przygotowuje się chrzcić Ruś —wskazała na Janka. Święta Olga koronuje syna (przebacz wielki Nestorze!)...

I wszystko zresztą w tym porządku; trzpiocząca się Telimena była krwiożerczą Katarzyną; Wojski, Zosia, Jankiel, uosabiali podbite narody.

Pan poczmistrz niewiele zwracając uwagi na objaśnienia, trzymał oczy utkwione w królującej u góry S ł a w i e, „uriadnik“ zaś, całkowicie zadowolony, potakiwał głową i raczył jednę tylko zrobić uwagę, że Włodzimierzowi należało krzyż prawosławny dać do ręki.

— Bardzo słusznie — odparła panna Marja —, na drugi raz poprosimy pana „uriadnika“ o jego dowcipne rady.

Mimo wszakże dobrą grę panny Marji, towarzystwo rychło uczuło się zwarzone. Nawet przy kolacji, przy częstych kieliszkach i licznych toastach, czuł się ten przymus, jaki obecność przedstawicieli ucisku wywierała na zebranych.

Również i tańce nie szły tak ochoczo, jak to młodzież obiecywała sobie już od rana, ponieważ panny odmawiały często zaproszeniu, aby nie czuć się w obowiązku tańczenia z młodym panem poczmistrzem. Wreszcie domyślił się, ktoś jak z „uriadnikiem“ poradzić w najwłaściwszy sposób: zatrzymanego w jadalnym pokoju częstowano tak uprzejmie, aż ciekawe oczki, a zapewno i naostrzone uszy, coraz słabiej „państwową“ służbę spełniać były zdolne.

Wśród cichnącej zabawy i snucia się bezcelowego gości po salonach, była chwila, że przechodząc z panną Marją pokoje, zatroszczyłyśmy się o pewnego gościa, który zwykle bardzo ciche i niewybitne zajmował stanowisko wśród zgromadzonych. Gdyby nie piękne imię i głośna fortuna, możeby nawet wcale żadnej na siebie nie zwrócił uwagi.

Mnie jednak, a zarówno i pannę Marję, człowiek ten pociągał jakąś dziwną melancholią, rzekłabym kamienną, która do postaci jego jakby przyrosła — na wieki. Znałyśmy jego przeszłość dość mglistą — wiedziałyśmy skąd, wśród uśmiechów fortuny, bił ten smutek niewyczerpanem źródłem, i mimo wszystko, co było w jego przeszłości czułyśmy, za ten smutek właśnie, pewną rzewną litość— jak dla skazańca.

Ja prócz tego, lubiłam niezmiernie pogawędzić z nim niekiedy. Miał ten człowiek pewną gorzką ironię i nawet coś, jakby pogardę dla otaczającego świata. Unikał ludzi, nie lubił rozmawiać. Lecz za to przepadał za gawędą, za długą, z dawnych dobrych czasów gawędą. Należało tylko potrącić o jakie dawne, przebrzmiałych ech wspomnienie, i już pan Dominik przeistaczał się cały, oczy mu żywiej błyszczały i słowa szły z ust płynnym potokiem. Zdawało się, że uśpiony dla teraźniejszości, budził się we wspomnieniu dawno minionych lat.

Spostrzegłyśmy go na kanapce, w rogu pokoju, jak złośliwem okiem z pod nasępionych brwi przyglądał się zdaleka towarzystwu. Poprosiłam mojej towarzyszki, aby dała mi z nim pogawędzić i przysunęłam się niezwłocznie do niego.

Miałam swój sposób wyciągnięcia go na słowa, po paru więc chwilach byliśmy w trakcie dość ożywionej rozmowy. Między innemi spytałam go o Chaleckiego, którego nieznane nazwisko uderzyło mię przy wieczornej herbacie na werandzie.

Pan Dominik popatrzał na mnie zdziwiony.

(Ciąg dalszy nast). *W. Dalecka.*

Wiadomości bibljograficzne.

Fredro hr. Aleksander. Dzieła. Wydał dr. Henryk Biegeleisen. Z portretem i podobizną pisma poety. Tom IV i V. Księgarnia Polska we Lwowie 1897.

Wielka encyklopedja powszechna Ilustrowana. Zeszyt 141. Echetos – Egbert. Zeszyt 142. Egbert wielki — Egipt starożytny — sztuki piękne. Warszawa 1897.

Z drukarni Z. Golloba.